№ 31. Warszawa, dnia 1 Sierpnia (20 Lipca) 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Z dziecinnego pokoju dochodził przez otwarte drzwi głęboki oddech Zosi śpiącej; dziewczynka oddychała wolno, rytmicznie.

— Naturalnie, to już wszystko minęło, tyle lat! Zresztą, to była jego rzecz kochać cię, bo ty zwyczajnie jak młoda panienka, byle czem głowę zawrócić sobie mogłaś. Teraz on bogaty, przystojny, o, bo on jest naprawdę przystojny z tą twarzą charakterystyczną ormiańską, a ty, moja duszyczko — dodał, podnosząc się z siedzenia i całując żonę w czoło, — a ty już postarzałaś się dobrze od tej pory. Przypatrz się temu portretowi! — i pokazał jej wiszący nad biurkiem portret jej własny, jako młodej panny — jaka różnica, jaka?

Jakby ją kto ukłuł, poruszyła się nerwowo na krześle, a oczy jej padły na obraz. W złotych ramach trochę już przyczerniałych wisiało jej wyobrażenie z przed laty dziesięciu; z tym warkoczem puszczonym wolno, z tem czołem gładkiem, z oczyma śmiejącemi się śmiechem młodości musiała być śliczną naówczas. Mimowoli porównywała się z odbiciem swem w lustrze, na czole gładkiem układała się powoli zmarszczka podłużna, a w oczach zaświecił smutek. Widziała się tą samą, a jednak inną, a tak mimowoli, bezwiednie, odruchowo pragnęła być podobną do tamtej młodej, urodziwej z obrazu.

— No i cóż, nie prawda?

— Co tam prawisz takie rzeczy. Zkąd ci zresztą przyszły do głowy i to dzisiaj właśnie podobne porównania. Spojrzyj lepiej na siebie. Ty to się wcale nie zmieniłeś: byłeś łysy, jesteś łysy, byłeś chudy, jesteś chudy, ten sam.

Starała się słowom swym nadać formę żartu, bo poparła je śmiechem urywanym.

— Ja już jestem stary, czuję to, lecz mnie jest wszystko jedno, do nikogo się wdzięczyć nie potrzebuję.

— I ja również, kolej moja minęła, czas na Zosię.

— Nie mów! — i z ukosa spojrzał na nią, — nie mów... A Ohana? To przecie dawny adorator, może go sobie przypomnisz lepiej, pociągniesz ku sobie. On gotów się powtórnie zakochać, a może on jeszcze zakochany?

I śmiał się wesoło, całując powtórnie żonę siedzącą w milczeniu.

— A to, wygadujesz! Jemu już dawno wszystka miłość z głowy wywietrzała. Mój kochany, dziesięć lat tułaczki po świecie, dziesięć lat ocierania się o różne, różne Greczynki, Ormianki, Turczynki, mogą nawet w ideale rozwiać wszystkie uczucia głębsze.

— Ja też tylko żartuję, przecież wiem, że te pensyonarskie kochanie wietrzeje tak szybko jak wino bessarabskie.

— Ale bo na co te żarty, te żarty niemądre?

— A czy nie wolno żartować? Przecież to tylko żart, ja wiem, że ty mnie kochasz. Prawda, ty mnie tylko kochasz?

Pochylił się nad nią, gładząc jej miękkie czarne włosy rozpuszczone; potem całował ją w usta delikatnie, jak gdyby się obawiał je popsuć.

— No, pocałuj mnie i powiedz, że mnie tylko kochasz.

Nieruchome jej usta rozwarły się w uśmiechu, dotknęła wargami jego policzka pomarszczonego i wymówiła cicho

— Pocóż się pytasz, przecież wiesz, że cię kocham.

— To dobrze! Niech sobie ten Ohana siedzi w Nikoresztach, niech sobie przyjeżdża do nas, ja o swoją Helcię mogę być zupełnie spokojny.

— Ale co tobie za dziwne myśli chodzą po głowie?—spojrzała mu łagodnie, prosto w oczy.— Przyjechał w te strony, bo to jego strony, zresztą chciał może wypocząć po tej tułaczce, a że będzie miłym sąsiadem, o tem nie wątpię. Czyś ty o niego zazdrosny? — zapytała czule.

Zatrzymał się przez chwilę, a potem wahająco odrzekł:

— Nie, bo jestem spokojny o ciebie!

— I możesz być zupełnie spokojny!

Powiedziała to szczerze, a jednak kiedy została sama, myśl jedna wracała jej uporczywie do głowy: ta gwiazdka wieczorna o podwójnem znaczeniu. To ona nad nim, tym przystojnym, ładnym Owanesem i jednocześnie nad nią migotać miała! Odpędzała tę myśl fantastyczną, a jednak wracała ona po chwili i przynosiła dawne wspomnienia migocące niepewnie, lecz tak jakoś nęcące, a z pośród nich wyłaniała się jak ze mgły świetlanej wysoka, ogorzała postać Ohany. Czuła, że on zajął jej wyobraźnię, iż rozbudził śpiące od lat wielu wrażenia dawne.

Usiadła na niskiej kanapce i w milczeniu utkwiła oczy w ten portret młodej panny, z którego tryskał zatrzymany przez artystę wesoły, młody, rozkoszny wyraz twarzy. Lampa pod niebieskim abażurem rzucała światło łagodne na sprzęty, którymi był zastawiony buduar maleńki, wysłany całkowicie miękim dywanem perskim. Było tu spokojnie i zaciszno, usposabiało to mimowoli do marzenia, nikt nie przeszkadzał, wszyscy spali.

Marzyła bezwiednie o sobie, tej młodej dziewczynie ośmnastoletniej, promieniejącej zdrowiem i weselem, i o nim równie młodym, ruchliwym chłopcu. Z tego Owanesa, sieroty, co pis w kancelaryi Wysockiego majątku, wyrósł mężczyzna przystojny, pełen życia i energii. W wyobraźni jej przesuwały się obrazy panieńskiego życia. Widziała się znowu tą młodziutką pa-

nienką, sprytną, umiejącą każdemu odpowiedzieć doraźnie, widziała się razem z tym Ohaną niepozornym, wiecznie zajętym albo rachunkami, kombinacyami handlowemi, albo czytaniem. Przypomniała sobie, jak chodzili razem codziennie po ogrodzie wśród młodej akacyowej alei, która teraz rozrosła się do niepoznania, jak rozmawiali niekiedy wesoło, niekiedy poważnie; jak ten Owanes przynosił jej na wiosnę codziennie bukiecik konwalij leśnych lub fijołków. Rozumieli się bardzo dobrze, przywykli do siebie, zdawało im się, że tak na zawsze pozostanie, przecież od dzieciństwa się znali wczesnego. Tymczasem życie poszło swym torem, ona musiała wyjść za mąż za tego Szymonowicza, a on z rozpaczą i smutkiem nieskończonym wyjechał z Wysoki.

I gdyby ona była wyszła za niego, jak o to ją prosił, bo wiedziała, że ją kocha, byłaby inną..

Co by to wówczas się działo — marzyła dalej — i było jej rozkosznie i boleśnie zarazem, opierała się temu tchnieniu marzycielskiemu. Uśmiech goryczy zawitał jej na śniadej, pięknej twarzy, zawitał i odbił się w drobnym, ognistym błysku oczu.

Nie mogła wyjść za niego, nie mogła, on pojechał tak, jak mówił, zniknął, pozostawiając po sobie tęsknotę, którą życie codzienne, obowiązki małżeńskie i macierzyńskie rozwiały i zgasiły.

Powiedział, że wróci bogatym, bo tylko niezamożność jego była powodem, że pójść musieli innemi drogami; przecież i ona go lubiła, nie tyle może kochała, ile lubiła.

Kocha?... Ona kocha teraz męża swego, poczciwego, dobrego, wreszcie swą Zosię, ale tamtego Owanesa lubiła...

Wrócił bogatym, kupił Nikoreszty, i przyjechał tutaj! Po co on tu przyjechał?

Gnębiło ją to pytanie. Wprost odpowiedzi nie znajdowała na nie, odpowiedzi logicznej, ale miała jakieś nieokreślone przeczucie, że on tu przyjechał, bo chciał ją przekonać, iż dopiął swego i został bogatym. Przecież on to mówił lat temu dziesięć, że wróci, wróci magnatem i mieć ją będzie.

On to powiedział! Wówczas zdawało jej się w pensyonarskim umyśle rzeczą niemożliwą, by ten Owanes mógł tego dokonać, teraz zaczynała wierzyć.

Pamięć powtarzała jej dzisiejszą wizytę, wszystkie słowa Ohany odbijały się złotemi głoskami na tle rozbudzonej fantazyi. To rzeczywistość! I pociągała ją ta rzeczywistość nieokreślona, uczuła jakby tchnienie jakieś, jakieś nieuchwytne tchnienie.

Te jego uniesienia, te spojrzenia gorące, tryskające, te niedokończone zdania, z takiem ogniem wyrzeczone, to ją nęciło, drażniło.

Bała się siebie. Jakiś niepokój, niepewność ją ogarniała, obawa tajemnicza. Zerwała się z fotelu i pobiegła ku oknu, otworzyła lufcik, prąd świeżego, wiosennego powietrza owiał ją i orzeźwił.

Księżyc był w pełni, rozlane jego oblicze obojętnie patrzało na nagą, ciemną ziemię, rzucając zimne promienie naokół. W górze błyszczały gwiazdki, błyszczały, migotoły, i toczyły się w niezmierzonym kierunku dali niebieskiej. Jedna z nich błyszczała żywiej, mocniej; młoda kobieta wpatrzyła się w tą gwiazdkę i zadrżała — to ona, ta sama, wieczorna świeci nad nią.

Nagle, jakby to migotanie rozprysło zmierzch jej duszy — zrozumiała trapiącą ją myśl rozkoszną.

— On mnie kocha! — przesłały ku gwiazdce błyszczącej rozmarzone usta.

Zamknęła lufcik. W buduarze było tak samo cicho, spokojnie, tylko monotonny ruch wahadła przerywał tą ciszę.

Więc nie zapomniał? Przecież to już lat dziesięć! On młody, a ona stara, zamężna, matka obarczona obowiązkami. Zwątpienie pomieszane z niedowierzaniem wśliznęło jej się do serca.

Tak, chwilowo się uniósł, to naturalne, przecież było niegdyś inaczej, przecież wspomnienie ożyć musiało. Ale zgaśnie... Proza żywota... Zresztą po co? Już życie weszło na inne tory. Przyjaźń będzie, sąsiedztwo przyjemne, na tem ona zyskać może, gdyż nuda nią i rozgoryczenie niekiedy wstrząsały. Do gospodarstwa nigdy nie czuła pociągu, tak, zajmowała się z przyzwyczajenia, ale nie było w tem zajęciu ducha inicyatywy, właściwego innym kobietom.

— Bardzo dobrze, że tu przyjechał — powtarzała sobie, kładąc się spać, — bardzo dobrze, przynajmniej od czasu do czasu ktoś zajrzy, rozrusza tę pustkę Teleszowską.

A jednak ten Ohana czarny, ogromny, jakiś niezwykły nie ustępował z jej serca; tak był inny, niepodobny wcale ani do męża, ani do braci, ani do kuzynów. To był człowiek, ten sam co przed laty dziesięciu, tylko ona na niego teraz trochę odmiennym wzrokiem bezwiednie patrzeć zaczynała.

II.

Dziwną była historya Ohany, dziwnemi były koleje, jakiemi szedł, by dopiąć swego.

Będąc jeszcze dzieckiem małem stracił matkę, chował się więc przy ojcu, który piastował godność klucznika w Wysoce, majątku pana Kajetana Bohdanowicza.

Ojciec po za domem wiecznie zajęty gospodarstwem swego pana, a pojmował obowiązki swe po ormiańsku uczciwie i szczerze, nie był w stanie osobiście doglądać swego jedynaka ruchliwego i żywego chłopczyka. Zostawiał go zatem pod opieką starej Jakubowej, gospodyni, lubiącej dziecinę za jego barankowatość i niewinne figle — i pod opieką Opatrzności Bozkiej. Mały Owanes skoro tylko chodzić zaczął, zapragnął się wyemancypować z pod skrzydeł dobrej swej opiekunki sędziwej. Uciekał więc od niej z izby i błąkał się razem z innemi dziećmi po odoji, Wszędzie go było pełno, wszędzie zajrzał, wszędzie wścibił swoje trzy grosze. A był śmiały, nie przerażały go ani krowy, ani konie, pośród których się uwijał tak zręcznie, że aż wszyscy podziwiali.

Ojciec pracował i cieszył się nim wracając wieczorem na odpoczynek do domu. Brał go wówczas na kolana i wypytywał dobrotliwie, co w ciągu dnia robił. Owanes przyglądał się ojcu, śmiał się swym dźwięcznym śmiechem metalicznym, recytując bez zająknięcia wszystkie swe psoty i figle.

Mówił śmiesznie tą gwarą rusińską, do której się przyzwyczaił, obcując z innemi dziećmi. Czasami tylko wtrącił jaki wyraz lub zdanie ormiańskie ku wielkiej uciesze ojca, zagorzałego wermena, który nawet książki do nabożeństwa ormiańskiej używał, a na odoje uważany był za wyrocznię ormiańszczyzny.

Nic więc dziwnego, że starał ją się wszczepić w syna. Rozmawiał z nim w ojczystym języku, powtarzając aż do znudzenia trudniejsze wyrazy; ale cierpliwości mu nigdy nie brakło. Niekiedy znużony, zmęczony, brał chłopaka do okna i pokazywał mu na książce do nabożeństwa litery ormiańskie.

Owanes z początku się krzywił, spoglądając na te czarne pałeczki, jakiemi zadrukowane były karty, lecz powoli wciągnął się, i zanim się uczyć zaczął po polsku, już po ormiańsku czytać i pisać potrafił.

Radowało się serce starego klucznika na widok tego chłopca jedynego tak pojętnego i zmyślnego, wróżył mu lepszą przyszłość, tembardziej, że i pan Kajetan w nagrodę za wierną służbę Grzegorza obiecał dziecko przygarnąć i wytresować, jak się wyrażał, na pisarza.

Jednakże, jak to się mówi: człowiek dysponuje, a los rządzi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Luźne kartki z Węgier.

(Ciąg dalszy)

IV.

Praca kobieca na wystawie.

Gdyby się chciało wierzyć wszystkiemu, co Madziarowie mówią o sobie z okazyi tysiącletniej rocznicy podboju ziemi węgierskiej przez lud Arpada, a mówią bardzo dużo (w gazetach, broszurach, przewodnikach, dziełach historycznych), należałoby się ciągle nimi zachwycać. Wszystko u nich dobre, lepsze, najlepsze—wszystko znakomite, niezrównane, doskonałe.

Bardzo to chwalebne, gdy się naród w sobie kocha, bo dowodzi to jego uczuć patryotycznych, ale nie wygodne dla kogoś, co się chce prawdy dowiedzieć. Tej prawdy nie doszuka się nikt w licznych książkach, wydanych z powodu wystawy. Trzeba docierać do niej na drodze obserwacyi osobistej.

Mówią Węgrzy, iż nie ma kobiet piękniejszych od Węgierek, i że nie ma narodu, któryby otaczał kobietę taką czcią, jak oni.

Jest w tej przechwałce nieco prawdy, bo Madziarowie byli narodem żołnierskim, wszystkie zaś ludy wojownicze odznaczały się i odznaczają się tak zw. rycerskością względem płci słabej. Wiadomo, że matrona rzymska miała daleko więcej swobody od niewiasty greckiej. Pierwsza rządziła w domu i po za domem, drugą zamykano w gineceach. I niektóre wojownicze plemiona germańskie otaczały swoje matki i siostry niezwykłym szacunkiem.

Madziarowie wskazują z dumą na Elżbietę Szilagyi, matkę króla Macieja, na piękną Maryę Szechy, która broniła osobiście swojego zamku, na Cziczakę Rozgonyi, walczącą w boju obok

męża, ale każdy naród żołnierski może się pochlubić kobietami odważnemi. W dziejach Rzymu, w starych legendach Germanów i Słowian jaśnieje mnóstwo niezwykłych postaci niewieścich, które przekroczyły zakres działalności swojej płci. Nie same tylko Węgierki odznaczały się cnotami męzkiemi i nie one jedne mają prawo do palmy urody. Że się Węgrom podobają najwięcej Węgierki, rzecz to naturalna i chwalebna, gustu tego jednak nie należy narzucać całe mu światu.

Przesadna rycerskość względem kobiet nie bywa zawsze zaletą. Psuje ona płeć nadobną, odrywa ją od zajęć domowych, stawia ją na jakimś sztucznym piedestale, z którego przykro zejść, gdy trzeba.

Najwłaściwszym stosunkiem między mężczyzną a kobietą jest współrzędność, oparta na właściwym podziale pracy.

Tylko tam, gdzie mąż robi swoje i żona swoje, dzieje się dobrze. Sztukę tę rozumieją najlepiej narody, pochodzące z rasy germańskiej (Anglicy, Niemcy, w pewnej części i Francuzi północni). Rycerskość w przesadnem rozumieniu może być bardzo przyjemna dla sfer zamożnych, ale staje się niewygodną dla ludzi, którzy muszą walczyć o byt powszedni.

Węgrzy zachwycają się Węgierkami, cudzoziemcy jednak są innego zdania. Zarzucają im oni strojnisiostwo, żądzę używania życia, chęć zabawy i t. d.

Mówili mi szczersi Węgrzy, iż nadmierny erotyzm źre i trawi Budapeszt tak samo, jak Paryż.

Nie wszystkie oczywiście Węgierki marzą tylko o podbojach miłosnych. Są między niemi rączki pracowite, zręczne, niezrażające się robotą zmudną, czego dowodem wystawa budapeszteńska.

W pawilonie szkół krajowych wystawiono bogaty plon pracy dziewcząt z różnych komitatów (powiatów) Węgier. Szkoły z okręgów: izabolskiego, borsodskiego, wesprimskiego, nagradskiego, walaskiego, czongradskiego i innych przysłały na turniej narodowy całe sklepy robótek niewieścich. Małe uczennice szkół ludowych i miejskich, dziewczątka od szóstego do dziesiątego roku życia, są doskonałemi szwaczkami i hafciarkami. Robótki ich zachwycałyby każdą gosposię niemiecką, której wędrówka doczesna zamyka się w granicach ogniska domowego.

Sztuki ozdabiania swoich mieszkań uczą się Węgierki nietylko w szkołach publicznych. Świadczą zagrody i domy modelowe, odtworzone we „wsi," w dziale różnych narodowości, poddanych koronie św. Stefana, że nawet chłopki posiadają dużo smaku i upodobań estetycznych. Prawie w każdej chałupie widać pościel, strojną wstawkami koronkowemi, obrusy na stołach, malownicze ugrupowanie kwiatów w oknach i barwne wyszycia na sukniach.

Rozumie się, że takie domy modelowe, znajdujące się na wszystkich większych wystawach, stoją w takim stosunku do rzeczywistości, jak umyta, uczesana i przyodziana odświętnie dziewczyna do brudnej dziewki dnia powszedniego, dają one jednak wyobrażenie o upodobaniach danej miejscowości. Gdyby chaty rzeczywiste były tylko w połowie tak czyste i strojne, jak owe modelowe, byłyby jeszcze czystsze i strojniejsze od naszych chałup wiejskich.

Dowodzą one, że Węgierki kochają się w robotach szydełkowych i w żywych barwach.

Ten wrodzony zmysł piękna rozwijają ludowe i miejskie szkoły węgierskie bardzo systematycznie. Oprócz czytania i pisania uczą się w nich dziewczęta równocześnie szycia, haftu, krosien i t. d., i dochodzą w tym kierunku do bardzo znacznych rezultatów. Są na wystawie firanki, poduszki, obrusy, dywaniki wykończone przez dzieci, mogące zdobić każdy salon. Niektóre z nich naśladują doskonale wyroby wschodnie.

Mniej bogato przedstawia się dział sztucznych kwiatów i malowideł na porcelanie. Na wyróżnienie zasługują kwiaty, nadesłane ze szkoły pani Szirmay-Messaros z Debreczyna. W zakładzie tym nabywają uczenice w przeciągu czterech tygodni niezwykłej wprawy w wyrabianiu sztucznych kwiatów. Sama przełożona szkoły zadziwiła panie budapeszteńskie biustem cesarza Franciszka Józefa, — króla, jak go stale i rozmyślnie na Węgrzech nazywają — złożonym z różnokolorowych kwiatów.

Uczennice budapeszteńskiej szkoły sztuk pięknych dostarczyły na wystawę mnóstwo szkiców, olejnych malowideł, akwarel, posążków i t. d. Są to w znacznej części roboty dyletanckie, bez większej wartości artystycznej. Nasze amatorki z „Salonu artystycznego" malują daleko lepiej. Uwagę cudzoziemca zwraca na siebie wielki obraz haftowany, przedstawiający Rudolfa Habsburga w chwili, kiedy przeprowadza na własnym koniu przez potok kapłana, który spieszy z wiatykiem do chorego. Dzieło to wykonały zakonnice klasztoru temeszwarskiego. I Madonna z dzieciątkiem, pochodząca z tego samego miejsca, należy do lepszych wyrobów pracowitości kobiet węgierskich.

Rozglądając się w dziale pracy niewieściej, widzi się najwięcej dzieł rąk dziecięcych, uczennic i zakonnic. Głównie sfery uboższe,—chłopki i mieszczanki — złożyły owoce swojej zręczności i pilności.

Dawniej bywało inaczej. Dawniej zajmowały się robotami niewieściemi i bogate panie i wielkie damy. W kościołach i klasztorach przechowały się dotąd ślady pracowitości zgasłych pokoleń. Ornatów, stół, komży, biretów, bielizny kościelnej dostarczały świątyniom i sługom ich szlachcianki, a wyrabiały te przedmioty tak dobrze, tak solidnie, że ornaty, stuły i birety wieków ubiegłych oparły się wpływowi czasu. Jak budowano zamki „na moc," tak robiono wszystko trwalej, mocniej.

W krajach węgierskich zasłużyły się w tym kierunku głównie panie słowiańskie, chorwackie i słowackie. Najpiękniejszych okazów pracowitości i cierpliwości dawnych kobiet dostarczyły na wystawę budapeszteńską kościoły i klasztory chorwackie i słowackie. Są pomiędzy niemi arcydzieła haftu, istne skarby dla amatora starożytności.

Dział niewieści na wystawie budapeszteńskiej nie zawiera nic takiego, coby świadczyło o wyjątkowem uzdolnieniu Węgierek w pewnym kierunku. Wszystko, co Węgierki przysłały do Budapesztu, przysłałaby także płeć piękna każdej innej narodowości. Każdy kraj posiada dobre szwaczki, hafciarki, znośne, poprawne malarki i rzeźbiarki. W dziełach rąk niewieścich podziwia się zwykle więcej pracowitość i cierpliwość aniżeli pomysłowość, oryginalność.

Ile tych robót i robótek przypada na rdzenne Węgierki, a ile na inne narodowości, które stanowią na ziemi św. Stefana trzy czwarte ogólnej ludności, trudno ocenić, skatalogowano bowiem wszystko pod jedną rubrykę „węgierskie."

Tylko Kroacya (Chorwacya) zebrała okazy swoje w osobnych pawilonach. A właśnie te pawilony kroackie czyli słowiańskie przedstawiają się najbogaciej.

I „wieś" międzynarodowa (słowacka, serbska, bułgarska, rumuńska, niemiecka), nie potrzebuje się obawiać porównania z wsią węgierską.

Wprawdzie twierdzą patryoci węgierscy w swoich podręcznikach wystawowych, że rasa madziarska nietylko panuje na Węgrzech lecz także asymiluje, wchłania w siebie obce jej żywioły, ale rzeczywistość zadaje kłam tej przechwałce. Opowiadają cyfry statystyczne, iż znakomita większość poddanych korony węgierskiej nietylko nie mówi wcale po węgiersku i nie przyznaje się wcale do Madziarów, lecz spogląda nawet kosem okiem na rasę rządzącą. Madziarowie wiedzą o tem bardzo dobrze i czując swoją słabość liczebną, nie narzucają woli swojej narodowościom innym. Pozwalają im w szkole, w gminie, w radzie miejskiej, w sądzie używać własnego języka, nie mieszają się do ich spraw miejscowych, zadawalniają się podatkiem i rekrutem. Nazywa się to tolerancyą, ale jest to tolerancya z konieczności, Słowianie bowiem czują z każdym rokiem więcej swoją siłę i dowiedli niejednokrotnie czynami, iż mają dosyć hegemonii Madziarów.

T. J. Choiński.

Edmund Goncourt.

Francya złożyła do grobu w ubiegłym tygodniu jedną ze swoich większych wziętości literackich — wziętości epoki minionej, przebrzmiewającej albo przebrzmiałej jeśli kto woli.

Bracia Juliusz i Edmund Goncourt'owie—jedyna w swoim rodzaju spółka literacka, gromadzili około siebie przed paru dziesiątkami lat plejadę całą młodych talentów, stali na jej czele, przedstawiali jeden z kierunków literatury belletrystycznej, tworzyli w pewnej mierze opinią ówczesną, i dali początek szkole, jak się wydawało im samym i ich adeptom.

Pobieżną charakterystykę tej szkoły i tej spółki braterskiej podawał w roku zeszłym „Tygodnik Mód." Z tej wzmianki zapamiętały zapewne czytelniczki, że młodszy z dwóch braci Juliusz, umarł przed laty dwudziestu z górą, a gdy dzisiaj nad świeżą mogiłą starszego Edmunda wypowiada umysłowość francuzka swój sąd o jego działalności artystycznej, poczuwamy się i my do obowiązku najwierniejszego zreprodukowania tego sądu, ze względu, że uważamy go za wielce znamienny i pouczający. Nie dodając do tej charakterystyki nic z osobistych zapatrywań naszych, poprzestajemy na tem co nam o życiu i pracach tego w każdym razie wybitnego pisarza, podaje w ostatnich dniach publicystyka francuzka.

Przed sądem staje tutaj oczywiście tylko osobisty dorobek Edmunda Goncourt'a; krytyka mówi przeważnie o jego dziełach takich jak: Historya społeczności francuzkiej w epoce rewolucyi

i dyrektoryatu, Portrety poufne XVIII wieku, Kobieta francuzka w XVIII stuleciu. Jako historyograf epoki ograniczał badania swoje przeważnie do jej obyczajów, a chcąc wiernie zobrazować te ostatnie, studyował przedewszystkiem kobietę ówczesną. Czy ta kobieta, którą się zajmował Goncourt streszcza w sobie istotnie przymioty i wady swojej płci, nie chcemy przesądzać, to pewna, że po za postaciami takiemi jak Maryi Antoniny i niewielu innych, znajdujemy przeważnie typy w tym rodzaju co Pompadour, Dubarry, Chateauroux i podobne im — jednem słowem wyłącznie prawie postacie dam-kurtyzanek wielkiego świata i aktorek. Te wszystkie razem wzięte, na typ kobiety francuzkiej złożyć się jednakże chyba nie mogą.

Zarzut ogólny jaki stawia krytyka francuzka pracom historycznym Goncourta jest ten, że studyując ducha francuzkiego danego momentu dziejowego, zatapiał się doszczętnie w epoce, że zgłębiał ją z dziwnym pedantyzmem, z prawdziwą sumiennością, a nawet, ozdabiał szczegółami i drobiazgami, pomijając za to najczęściej charakterystykę jednostek, które wyrastały po nad wspólną przeciętną miarę—tych właśnie jednostek, które bywają zwiastunami przyszłych kierunków, a często i rodzącego się nowego porządku rzeczy.

Że ignorował wszystkie objawy ducha ludzkiego nie wchodzące w sferę wiedzy i sztuki, a sam uważając się za artystę pierwszorzędnego wysuwał z niezwyczajną chełpliwością naprzód swoje „ja” dzieląc się na przykład z publicznością najdrobniejszymi szczegółami z własnego życia, które dlatego właśnie, że dotyczyły jego osoby, nabierały tem samem w jego oczach znaczenia całkowicie wyjątkowego. Z jednego wyłącznego punktu patrzył na świat ten człowiek, a ten punkt hypnotyzował jego samego niby jakiegoś wschodniego ascetę.

Że jego wyszukanie stylowe poprowadziło naśladowców na prawdziwe bezdroża, obfitość opisów zrodziła nudę Goncourtowskiej maniery, ubieganie się za wszystkiem co niezwykłe wytworzyło chłodną ekscentryczność, a upodobanie do malowniczości w obrazach—niesmaczną częstokroć pstrociznę.

Że nie ogarniał nigdy Goncourt całego obszaru ludzkich dążeń, pozostawiając na uboczu miłość prawdy i ogólnego dobra, że nie przedstawiał życia ze wszystkiemi jego radościami i cierpieniem — życia, na które się składają między innemi marzenia i nadzieje także. Nie może przytem świat cały przyjąć za dogmat, jakoby ta *boska* sztuka istotnie sama sobie celem być mogła. Jasno patrzeć i pięknie mówić to nie wszystko jeszcze przecież, potrzeba człowiekowi i czuć także choć trochę, a tu owo wyszukane słowo, za którem się tak ubiegał Goncourt takie było zimne i nużące.

Nakoniec w summie biorąc, szkodą dla literatury jest niezaprzeczenie śmierć tego człowieka. Jako twórca szkoły przejdzie on niewątpliwie do pamięci potomnych, ale duch francuzki protestuje przeciwko temu, aby szkoła przeżyć miała swojego mistrza.

Wady mistrzów stają się zawsze występkami u naśladowców.

Krytyka twierdzi, że wpływu jego na belletrystykę do rzędu dodatnich zaliczyć nie sposób. Mistrzem prawdziwym był w doborze wyrazów i w ich grze również, ale nie można mu tego nie policzyć, że bywał także ich niewolnikiem. Co zaś do szkoły, którą po sobie zostawia, jest ona tej metody i tej maniery nietylko igraszką, ale i ofiarą prawdziwą.

Tak surowy wyrok wypisała krytyka francuzka jednemu z koryfeuszów literatury. Sztuka dla sztuki, wiedza dla wiedzy, to hasła, których nigdy za trwałe uważać nie można. Artyzm w obrobieniu, mistrzowstwo formy, kunszt, to wszystko niezaprzeczone siły i czynniki twórczości, ale idei, natchnienia, iskry Bożej nie zastąpią one nigdy. Utwór niepoczęty w głębi ducha ludzkiego, a wyłącznie przy ich pomocy wymodelowany, wyrzeźbiony i wycyzelowany, będzie zawsze tylko kwiatem bez woni, formą bez ducha, pięknem o pustem wnętrzu naczyniem — utwór taki w sercu ludzkiem oddźwięku nie znajdzie, do pamięci potomnych nie przejdzie, twórcy nieśmiertelności nie zapewni.

Jako człowiek prywatny żył Edmund Goncourt w zupełnem prawie odosobnieniu. Z biegiem czasu, ze zmianą upodobań literackich i artystycznych, ludzie odsuwali się, a on stojąc niewzruszenie na miejscu zamknął się w szczupłem gronie adeptów, po za którymi odwiedzali go niekiedy Lefebvre de Behaine i księżna Matylda. Nie mówi się tu już o Alfonsie Daudet, bo ten postanowił sobie wytrwać do śmierci jako przyjaciel Goncourta, a jak zapewniają nie było to wcale łatwem zadaniem. Zresztą żył już oddawna jako samotnik zupełny, mizantropia wzrastała, a w końcu popadł w taki stan ducha, że nieobchodziło go zupełnie to wszystko, co nie zostawało w związku z jego dziełami i jego sławą literacką. Tymczasem te dzieła przynosiły owoce coraz bardziej gorzkie. Krytyka nie oszczędzała wcale mistrza, a między wielu zarzutami, jakie go spotykały u schyłku życia, był i ten także, którym wytykano Edmundowi Goncourt, że po śmierci Juliusza dzieła jego nie miały nawet tej wyszukanej poprawności, którą się odznaczały prace obudwu braci.

Mścił się za to wszystko odludek ignorowaniem zupełnem całego ruchu umysłowego współczesnego. To co się działo dokoła niego nie zasługiwało na jego uwagę, a po przeczytaniu dzienników zwykł był mówić: „Nie ma tam nic—nic zupełnie. Niechajże jednak wyczytał, że dzisiaj w teatrze Batignolles wystawiają „Germinję Lacerteux,” wnet wypogadzał się horyzont, publicystyka otrzymywała czasową amnestyą, a on o ludziach i sprawach ich wyrażał się z większą pobłażliwością w takim dniu wyjątkowym.

Odwiedzał peryodycznie dom Alfonsa Daudeta w Chamrosay, tam też po krótkiej chorobie zmarł w połowie b. m. Pochowany na Montmartre obok brata.

Majątek pozostawił znaczny bardzo. Fundacya Akademii Goncourtów, o której tak wiele mówiono, przychodzi do skutku.

To co wiadomo dzisiaj o składzie, funkcyach i zadaniach tej nowej instytucyi nieśmiertelnych da się zawrzeć w niewielu słowach. Pierwszych jej członków zamianował testamentem sam założyciel. Miało ich być dziesięciu, podają jednak dzienniki tylko te nazwiska: Alfons Daudet jako prezydujący, Leon Hennequin, J. K. Huysmans, J. H. Rosny, Octaw Mirbeau, Paweł Margueritte i Gustaw Geoffrey. Ci panowie pobierać mają rocznej płacy 10 tysięcy franków każdy, a w zamian za to kwalifikować będą na corocznym konkursie najlepszą wedle swoich przekonań pracę belletrystyczną albo z dziedziny estetyki, za którą przeznaczona jest nagroda w kwocie 5,000 franków.

W razie gdyby się to ciało naukowe dla braku zgodności zorganizować nie mogło, cały majątek Goncourta wynoszący 2 miliony franków, przejdzie na instytut opuszczonych dziewcząt imienia księżnej Matyldy. Ale dlaczego nie mieliby się zgodzić? Nie wiadomo właściwie zkądby się miała wziąść niezgodność zdań, zresztą jakkolwiek zaszczyt należenia do grona nie będzie się zaliczał do pierwszorzędnych, ale wynagrodzenie bardzo znaczne stosunkowo, zwłaszcza do trudu, jaki tych wybranych ma obciążać.

Legatów oprócz dla jakiejś starej kucharki i kilku innych drobnych, które są właściwie upominkami, nie ustanowił Goncourt żadnych.

Co do zastrzeżeń, któremi przyszłe wybory do Akademii Goncourtowskiej są obwarowane, to przedewszystkiem wiadomo, że nie może być jej członkiem nikt, kto się ubiega o kandydaturę do Akademii Francuzkiej, wykluczeni być mają także ludzie oddający się polityce; jednem słowem jest to fundacya dla belletrystów i estetyków, której zadaniem wyznaczać 5,000 franków rocznie ku czci imienia Concourtów.

S.

MALARSTWO.

Nie często spotyka się na wystawach naszych prace tej miary, co sześć „Krajobrazów tatrzańskich” Stanisława Witkiewicza. Skromny pokoik ostatni w „Towarzystwie Zachęty” czar sztuki zamienił w przybytek tajemniczy, w którym chłonie się w piersi dzikie powietrze gór, pije wicher wiosenny.

Na pierwszym z tych obrazków jest noc i zima i droga w lesie. Śnieg pokrył grubo gałęzie świerków, i pochylił je ku ziemi. Księżyc świeci, i na odludnej drodze leśnej kładą się cienie drzew. Mróz, cisza, pustkowie. Jest to noc taka, w której świat wygląda jak świat zaczarowany, jak jakaś kryształowa kraina z baśni, jak sen. Ziemia śpi w toni blasków i świateł.

Ten śnieg, te światła wykonane po mistrzowsku, dają pełne złudzenie przyrody. Nie błękitny, siny, lub czerwonawy, jak to bywa często u innych artystów naszych, śnieg Witkiewicza ma barwę i połysk prawdziwego śniegu opromienionego światłem księżycowem. A te cienie, te mroki leśne! Ileż w nich prawdy żywej!

A teraz, tu, obok, znowu noc zimowa. Z lasu wyjechał wóz z podróżnymi, przewodnik góral postępuje przed nim, i trzymaną w ręku latarką rozświeca ciemności. To rozlane po śniegu światło latarni, promienie padające od niej na postać przewodnika, to wszystko stanowi jedno z trudniejszych zadań malarskich. Witkiewicz wyszedł z niego zwycięzko.

Co do mnie jednak, wyznaję, że ta gromadka podróżna, ten żywioł ludzki psuje mi ogólne wrażenie obrazu. Na tle tej olbrzymiej przyrody człowiek wydaje się tak drobnym, bezsilnym, tak lichym, że dla nieobniżania efektu należałoby obecności jego unikać, albo może wyposażyć go takim wyrazem, którego potęga duchowa harmonizowałaby z żywiołową grozą krajobrazu.

Pełnym wdzięku jest najmniejszy, zdaje się, z zebranych tutaj obrazków. Oto *wirch* jakiś; z boku, z za skały wyszło kilka kozic dzikich. A snać w tem ustroniu niedostępnem bezpiecznemi czują się te gemzy tatrzańskie, bo nie widać obawy w ich ruchach i spojrzeniach. Spokojnie czernieją ciemnemi plamami na tle śniegów.

Niepodobna opowiadać mi o wszystkich, choć o każdym z tych sześciu krajobrazów chciałoby się pomówić mi z wami. Pozwólcie zatrzymać się nad jednym jeszcze. Czy wyobrażacie sobie czytelnicy, jak to wiosna robi się w górach, jak pewnej nocy marcowej zrywa się wicher, i wieje od hal, w dolinach topi śniegi, rozkuwa potoki, od szczytu do szczytu, przepędza tumany chmur i mgieł. Otóż obraz Witkiewicza przedstawia taką noc marcową, taki wicher wiosenny. Malować wiatr, to z samej natury rzeczy zadanie prawie niewykonalne. A jednak on tam wieje ten wicher, wieje tak, że aż gną się lasy, aż chylą ku ziemi dwa świerki samotne, nad brzegiem Dunajca, niby dwaj podróżni burzą gnani. U szczytu Gewontu (bogdaj że to Gewont) kłębią się chmurzyska czarne, wyżej nieco, z boku usiany gwiazdami szmat błękitu się odsłania, w dolinie połyskuje Dunajec.

I jest w tym obrazku dziwny czar i poezya, i pierwiastek jakiś radosny. Bo choć tu w przyrodzie walka wre, czujesz, że te zapasy zakończą się zwycięztwem życia i światła nad śmiercią i mrokiem. Wpatrujesz się w niego, przybywa ci sił, i mówisz sobie, że niema tak silnej zimy, którejby nie skruszył szalony orkan od hal. I chciałbyś wciągnąć w płuca tego wiosennego wichru kłęb, i tak jak on pójść—łamać. Ha, wyj wichrze dziki, wyj i szalej, top powłoki lodowe!

Kto kocha przyrodę, a zwłaszcza przyrodę górską, komu miłe są nastroje silne, skupione, których ona dostarcza, niech spieszy na wystawę obrazów Witkiewicza.

W duszy artysty przyroda ta z całą swoją dzikością i czarem odbiła się, niby w zwierciadle. On ducha gór tych zaklął w swojem płótnie.

Dlaczego artyści krakowscy nagrodą 800 koron uwieńczyli obraz Ludwika Stasiaka „Jasna Góra"? Czyżby na ten konkurs istotnie żadnego prawdziwie wartościowego obrazu nie nadesłano?

Takie pytanie zadaje sobie z pewnością niejeden ze zwiedzających salon Krywulta, w którym od pewnego czasu zawieszono wspomniany wyżej obraz.

Juścić chęci stworzenia czegoś niepospolitego niepodobna odmówić artyście. Ciągną tam niby tłumy do owego jasnogórskiego klasztoru, ciągnie lud w serdakach i sukmanach lubelskich, ciągnie ze śpiewaniem, z chorągwiami. Ale te tłumy to ubożuchne grupy, z kilkunastu ludzi złożone, co poprostu razi jako fałsz. Mniejsza jednak o to. Ważniejszą rzeczą jest, że uniesienia religijnego mimo widocznych usiłowań nie zdołał artysta ani w twarzach, ani w postawach tych ludzi uwydatnić. Kto widział tych pielgrzymów spieszących do bram Częstochowy, kto pamięta ich oczy rozognione, komu brzmią w uszach ich modły i śpiewy pełne zapału, ten musi uznać obraz za niebywale oschły i zimny. Jedna, jedyna postać kobiety klęczącej przemawia jakoś silniej do duszy widza. Inne są martwe.

Zwłaszcza ten turysta w sukmanie, z chorągwią w ręku, który zamiast z tęsknotą upragnienia zwracać się ku Częstochowie, spogląda gdzieś w bok, jakby badał okolicę, nie wiadomo, po co ustawiony został na pierwszym planie, chyba dla zaznaczenia zupełnie obojętnego nastroju tej gromadki. Nie, to nie są ludzie, którzy z gorącą wiarą prostaczą spieszą do obrazu Matki Bożej. Trudno też domyśleć się, dlaczego artysta ubogą ziemię jasnogórską, deptaną tysiącami stóp przyozdobił takiem mnóstwem kwiatów i roślin, jakby to był bujny ukraiński step.

Wszystko tu sztuczne doprawdy, aż do tych kwiatów, po których przecież najwyraźniej przeszła pierwsza grupa pątników, zbliżających się już do bram cudownego przybytku, a one mimo to stoją nienaruszone, świeże. Sztucznem jest natchnienie pana Stasiaka, i prawdopodobnie sztucznymi musiały być względy, które skłoniły sędziów do przyznania mu nagrody.

W tym samym salonie Krywulta spotykamy obraz Z. Andrychewicza p. t. „Z ciernistej drogi życia." Jest to epilog, czy może tylko jeden z epizodów życiowego dramatu. W przedsionku kościoła widzimy leżącą młodą kobietę. Zemdlała, czy może tylko z rozpaczy rzuciła się na ziemię, i pozostała tak bez sił, bez ochoty do dalszej walki. Znawcy stawiają wysoko techniczne zalety obrazu. Co do mnie zarzuciłabym tylko, że twarz tej nieszczęśliwej zamało nosi śladów przebytej męki. Życie okrutniej się obchodzi z takimi świeżo rozkwitłemi kwiatami, odbiera im barwę i wdzięk.

Za to poza ramienia opuszczonego bezwładnie jest pełna wyrazu, i najlepiej myśl artysty tłómaczy. Tło obrazu, akcesorya wyszły bardzo plastycznie.

Ponieważ rzeźbie pismo nasze nie poświęca osobnego działu, pozwólcie, że na zakończenie wspomnę o „Rolniku" Kurzawy. Kiedym stała przed nim, zdawało mi się, że ta postać, rozrosła, a pełna spokoju i ciszy, jest mi znana dawno, znana nie jako typ rzeczywistości wykradziony, ale już jako pomysł artystyczny. Tak, to ten sam, o którym mówi A. Lange: „Włos ma płowy, szare oko, twarz od słońca ogorzałą, barki silne, pierś szeroką, i koszulę nosi białą. Dziwna postać ta oracza. Idą, płyną pokolenia, jego nic nie przeinacza, jego ducha nic nie zmienia. I tak kroczy śród gorąca jak na wyżni gdzieś irańskiej jakiś duch z przed lat tysiąca, jakiś wid starosłowiański." Tak to ten sam Aryjczyk, siewca, olbrzym łagodny wichrami pól, promieniami słońca, chłodem ros porannych i wieczornych hodowany. Oto odkrył głowę płowowłosą, i nim pierwszą garść ziarna wrzuci w rolę, podnosi wzrok ku Ojcu Niebieskiemu.

Zastanawiająca to rzecz doprawdy, dlaczego w duszach artystycznych, współczesnych sobie tak często te same drżą motywy, choć pola twórczości tych dusz odmienne.

Dlaczego o tem samem śpiewa poeta, co jednocześnie gdzieś, w ciszy pracowni z pod pędzla lub dłuta powstaje? Czy w atmosferze duchowej każdego okresu unosi się pewna ograniczona ilość motywów, które pokoleniu żyjącemu w tym ułamku czasu zużytkować przeznaczono?

Wracając do „Rolnika" Kurzawy, jest to dzieło prawdziwego talentu, pozostawiające głębokie wrażenie.

Tego olbrzyma, z podniesionemi w górę oczami, modlącego się spojrzeniem, twarzą, postawą całą, nie zapomina się łatwo. Tyle w nim prostoty, szczerości, prawdy! Znać, że artysta wszystkie siły znękanego ducha swego kładł w tę pracę.

H. C.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Oroński tymczasem przejrzawszy nieco z bezgranicznego zaślepienia, dopominał się, by słowa dotrzymała, przeczuwając, że oboje padną teraz na gadania ludzkie.

Ponieważ zaś stawiany przez nią warunek „by nie odzywał się" — miał go obowiązywać dopiero z chwilą jej wyjazdu, pisywał zatem donosząc, że pierścionki z narzeczoną sobie zwrócili, że następnie: panna Marya z ojcem i matką do Włoch wyjechała. Szczegóły rozstania przemilczał. O sobie nadmienił tylko, że pozostał na dawnem stanowisku, że nawet objął całkiem na swą odpowiedzialność kierunek nad zakładami pana Roger, zobowiązując się nie usuwać, dopóki sam właściciel z zagranicy nie powróci, lub zwolnić go nie zechce.

W samej rzeczy tego rodzaju umowa stanęła pomiędzy Orońskim a dawnym zwierzchnikiem.

Panna Marya bowiem dobrze objęła myślą, że w nieobecności ich rozwiązanie kontraktu będzie niemożebnem, a zajść stanowczo powinno. Do zmiany tej zatem nakłoniła ojca, który niczemu się nie opierał, rozumiejąc, że Oroński względnej wolności potrzebować może, i na dawnem stanowisku nie pozostanie, ponieważ odebrawszy spadek z zapisu wuja, zamierza „martwy kapitał" wcielić w pożyteczne przedsiębiorstwo, i w tym celu już przygotowania czyni.

Panna Marya zaś w całym przez się ułożonym planie miała jeszcze to na względzie, że chciała poprostu Januszowi dać sposobność wyświadczenia im przysługi. Chciała postawić go w takiem położeniu, by nie z musu, lecz z dobrej woli na stanowisku pozostał. Przytem przeczuwała, że ojciec ogromnie weźmie do serca zerwanie jej małżeństwa, że zresztą znajdzie w tem silne przywtórowanie ze strony matki, i w oburzeniu zechce może Orońskiego natychmiast oddalić. Na ten wypadek przeto pragnęła go choć tyle zabezpieczyć, by mniej ucierpiał w opinii ludzkiej i był zwolnionym jako człowiek dobrowolnie pełniący obowiązki, a nie wyrzuconym, jak przeniewierczy sługa.

Oroński nie wiedział jak troskliwie pracowała dla niego Marya głową i sercem. Lecz doświadczył niemałej ulgi, gdy kontrakt został tak prosto a formalnie rozwiązanym, i wielkiego zadowolenia, gdy mógł choć pracą swą dać pewne zadośćuczynienie ludziom, względem których czuł się coraz winniejszym.

Postanawiał tedy wytrwać na stanowisku dopóki interesa pana Roger będą tego wymagać, i gotów był urzeczywistnienie swoich planów

i przedsiębiorstw zastosować do potrzeb zwierzchnika, równie jak do kierunku, jaki im przypuszczalnie nadać mogła nowa narzeczona i sprawa małżeństwa z nią zamierzonego.

O wszystkiem też powiadamiał Adę.

Ale ona z roztargnieniem pomijała najważniejsze punkty. Faktyczne rozstanie z panną Roger przyjęła obojętnie, zdawna uważając Janusza za swą własność. Poczęła tylko myśleć o nim z nieznanem przedtem lekceważeniem, nie rozumiejąc wszakże, iż stracił poprostu dla niej na wartości, stwierdzając ostatecznie swoją względem niej słabość.

Takiem jest bowiem prawo rzeczy, iż zasady i prawdy moralne, oraz siła charakteru mają znaczenie nawet w przekonanin tych, którzy bez nich się obchodzą, lub napozór je depcą.

Panna Smieńska wprawdzie nie siebie pociągała tu do odpowiedzialności i nie sobie przypisywała dokonanie tej obniżki etycznej w Orońskim.

Lecz opinia ludzka rozświetliła jej poniekąd w tym względzie pojęcia.

Gdy bowiem po wyjeździe państwa Roger rozeszła się wieść o zerwanem małżeństwie Maryi, znanej jako jedna z najświetniejszych partyi w mieście, głos ogólnego oburzenia zwrócił się przeciw Adzie, nie przeciw Orońskiemu. Jego broniła tu bezinteresowność i wielka miłość, wreszcie sympatya, jaką się cieszył, jako człowiek uczynny w stosunkach i honorowy. W jej uczucie, przeciwnie, zgoła nikt nie wierzył, i jej lekkomyślność przy powodzeniu wytworzyła jej wielu zawistnych.

Więc poczęto ją osypywać zarzutami słusznymi i niesłusznymi—i poczęły się rwać koło niej one zachwyty, hołdy, przyjemności, wszystko, co podobnie jak młodość poczytywała za niewyczerpane, a co podlegając ogólnym prawom ziemskich spraw, ma trwanie, rozkwit i przekwit, i schyłek, a koniec.

Ten też zwrot w opinii i stosunkach skłonił ją ostatecznie do wyjazdu.

Naraz oświadczyła pani Męckiej i znajomym, że opuszcza Warszawę, i poczęła zwijać swój namiot wśród bezustannego napływu żegnających i ciekawych.

W jej gościnnym saloniku zawrzało tedy od różnorodnych opowiadań, wypytywań, a powtarzania przez rzekomą życzliwość wieści najnieprzyjemniejszych.

— Jedna Niuta Kermeńska szczerze brała do serca wyjazd przyjaciółki.

— Co za szkoda, że wyjeżdżasz! co za szkoda! —wołała ze swą dziecięcą prostotą.—Wróć, wróć, moja droga, na mój ślub koniecznie! Tak cię chcę za druchnę... Wiesz, Kościesza nie będzie, nie może, uprzedzał—dorzuciła szeptem.— Toś ty się w nim nie kochała? seryo?... Ach, jak to dobrze! a myśmy z mamą tak się martwiły... Ale to nic! bądź jak ja szczęśliwą, i pamiętaj: do mnie pierwszy list po ślubie.

Ada pozbyła ją półsłówkami i śmiechem. Zgorączkowana była, roztargniona, odpowiedzi i rozporządzenia dawać musiała na stron parę. Znajome wchodząc i wychodząc zwiększały zamęt i bezład, widoczny w otoczeniu, całkiem zrujnowanem w dawnej estetyce.

Pod koniec dnia wśród zgromadzonych zagórował to nieco za gruby, męzki głos Heli, to dźwięczny śmiech jakiejś drobnej blondynki, chichocącej z dwoma innemi, też więcej obcemi.

Panna Bończuk, zaprawiając się w filozoficznej wyrozumiałości i objektywizmie, powstrzymywała się od wszelkich uwag nad postępowaniem Ady, przeświadczona, iż każdy fakt jest nieuniknionym wynikiem przyczyn i czynników, jakie go zrodziły.

W dniu tym była zresztą przejęta sprawą ogólną, ważniejszą nad osobiste. Mianowicie projektem, który w końcu jasno skrystalizował się w jej głowie po różnych zapędach i próbach, miał zaś dać właściwe ujście jej zapatrywaniom we względzie sprawy kobiet, a szczerej chęci pożytecznej pracy.

— Przestudyuję nauki przyrodnicze i społeczne w Zurychu, i powróciwszy otworzę zakład wychowawczy dla kobiet — mówiła, znalazłszy powolną słuchaczkę w obok siedzącej Julii.

Tu wszakże zagłuszyły ją okrzyki innych, dowodzących, że mogła była zdobyć się na pomysł świeższy i samoistniejszy.

— Ależ nie żadną pensyą niższą, wyższą, ani najwyższą, tem mniej spekulacyą na głowach i żołądkach pupilek! Nazwa stara jak rzecz, a całe znaczenie w wykonaniu, w idei, w założeniu... Więc zakład wychowawczy dla dziewcząt od czwartego do ośmnastego do roku życia—tłómaczyła wśród wrzawy.

— Zmiłuj się! To z niańkami? takie dzieci!

— Właśnie! Od gruntu należy zaczynać uprawę i przemianę. Poczynamy mieć wszystko w społeczeństwie: doktorki, introligatorki, telegrafistki, kasyerki, ale kobiet prawdziwych coraz mniej!

Śmiechy i żarty znów jej przerwały.

Lecz Hela swego pewna zapanowała po chwili nad ogólnym gwarem i snadź w odpowiedzi na pytania, rzekła:

— Moje hasło? Oto racyonalny rozwój wszystkich władz człowieka, ku zdrowiu duszy i ciała i świadomości swego przeznaczenia. Rozwój serca, woli, jasnej moralności, chęci życia, rozumienia piękna i pożytku tego życia, przygotowanie do walk z sobą i przeciwnościami, by jak najmniej było w zapasach poległych! Praca zawodowa, to kwestya ekonomiczna.

Tu wszakże brawo zahuczało i nie dano jej dokończyć. Ale poklask jeszcze rozgrzał pannę Bończuk.

Wstała z miejsca z rumieńcem na twarzy.

— Zaręczam wam — podjęła żywo, — iż cały ten balast nauk dziś przeciążających i wykrzywiających umysły, wyrzucę! Wytępię w wychowaniu obłudę, fałszywy wstyd, i ten cały śmietnik blichtru i wiadomości bezużytecznych, które nas tylko obniżają moralnie i ogłupiają.

W tym punkcie jednakże podniósł się już taki chaos, jak gdyby połowa obecnych uważała się za osobiście obrażoną, połowa zaś chciała krzyczeć na gwałt, że istotnie jest ciemną, czczą, ogłupioną, niezaradną, wywodzoną co krok w pole.

Wszystkie naraz mówiły.

Ada aż przestała w bibułkę zawijać saszety i koronkowe zarzutki, i rękoma trzepotała koło uszu na znak uciszenia.

Jedna tylko Julia poprawiała binokle na nosie automatycznym ruchem, głęboko zamyślona nad tem, że lat kilka poświęciła na studyowanie różnych „logii" oraz malarstwa i retuszeryi, a z pracy nic nie ma, i z nauk nic na dobre nie umie, i czuje nawet, że wszystko, co w głowę kładła, jakoś ani się z sobą trzyma, ani do życia dopasowywa... Dalej myślała, że dwie starsze siostry, lat dwadzieścia powtarzały, że „trzeba coś z sobą począć" — a na miejscu powiędły w domu, trawiąc czas nad włóczkowemi robotami.

— Ale słuchaj, Julio!—wyrwał ją nagle z zadumy głos Heli. — Borówkówny zostawię pod twoją opieką teraz, gdy wyjadę za granicę, bo one jużciż nadal będą gniotły bez powołania sztuki piękne.

Tu któraś poczęła prześmiewać naiwność Litwinek.

— Dajcie im spokój! Te przynajmniej nie szkodliwe — rzekła panna Bończuk.

Inne zaś poczęły jej dopytywać, czy nie otworzy z czasem oddziału dla starszych, i nie będzie dorosłych przyjmować do swego zakładu na poprawę. I dalej huczało jak w ulu.

Ada prawie się nie odzywała, oddana gorączkowemu przewracaniu szuflad, neseserów i pudełek.

Kostunia Jamicka zaś, która się też znalazła w tym kalejdoskopie osób, nie mając tym razem ciastek do chrupania, wszędzie wścibiała swój zadarty nosek, oglądając wyruszone ze zwykłych miejsc drobiazgi.

— To z Ostendy, a to z Kairu, ach, jakie to ładne! A to znów mozajka wenecka? Patrzcie! ho, ho! któż jej tak naprzywoził tych pamiątek?—mówiła, każdy przedmiot obracając w ręku.

Wreszcie okrążywszy tak pokój i sprzęty, zwróciła się do Ady niby od niechcenia.

— Ale wiesz, Pietro Vico do Rzymu wyjechał, przed trzema dniami, na pewno! Witold Zawrański mi powiedział, bo my teraz codzień się widujemy.

Ada spojrzała na nią trochę zdziwiona, trochę zaś zirytowana jej uszczypliwem zadowoleniem, źle zamaskowanem.

— Szczęśliwej podróży — odparła krótko.

Panna Jamicka się roześmiała.

— Swoją drogą przyznaj, że gdyby tak o trzy dni później wyruszył, to niezawodnie byłabyś przekonaną, że z rozpaczy za tobą?

Ada wiedziała jaką ma w niej nieprzyjaciółkę, ale rozgniewała się na dobre.

— A ja i tak jestem przekonaną, że nie dla innej przyczyny wyjechał — rzekła z pewnością siebie, w której zarówno mogło być szczere przeświadczenie, jak i chęć zamknięcia ust.

Kostunia zwróciła na nią oczki, kłujące jak ostrza czarnych szpilek. Lecz nie tracąc miny dodała:

— Ale jakiś młody artysta rzeźbiarz przybył z Krakowa... ja bo zaraz naukę rozpocznę z Hanią Zawrańską na współkę.

— Naturalnie, naturalnie! powetuj sobie, i życzę ci powodzenia pod każdym względem.

Tu, pożegnaniem przerwała im rozmowę owa drobna blondynka, która ciągle dźwięcznie się śmiała, pokazując w buzi małe ząbki, a na policzkach wabne dołeczki.

Z nią wnet zabrała się do odejścia i panna „Osunia."

Wkrótce zaś potem, jedna z ostatnich, zjawiła się Felicya

Ta przedstawiała obecnie skończony typ pracującej kobiety, jednej z tych, których „zapracowanie" poznaje się na pierwszy rzut oka z krótkiej sukni, obcisłego paltocika, włosów obciętych, ugładzonych, kapelusika męzkiego bez woalki, rękawiczek często w kłębek zwiniętych w kieszonce; wreszcie z układu figury, głową i ramionami wysuniętej naprzód z pośpiechu, a po czę-

ści i z przygarbienia, i z obojętności wejrzeń dla wystaw sklepowych i strojnych dam swobodnie spacerujących.

Kiedyś, gdy Oroński szedł ulicą razem z Adą, która właśnie dowodziła mu, że też pracuje, w całej odpowiedzi pokazał jej podobnie „gubiącą” nożyny figurkę i rzekł: „Porównaj ją ze sobą. Zanim ty włosy ułożysz pod kapeluszem i woalkę zawiążesz, ona od stóp do głów się odzieje i pół drogi ujdzie. Praca przedewszystkiem uczy wartości czasu.”

Felicya istotnie, oprócz krańcowej prostoty w ubraniu, zawsze ubogiem, miała w ruchach mimo kulenia wielki pośpiech, dawniej sobie niezwykły, a nawet pewną zwinność. Daleko wszakże wybitniejszemi były zmiany, które zaszły w niej pod innym względem. Oto w obejściu z dawnemi towarzyszkami objawiała ogromną powściągliwość obok takiej pewności siebie, jaką człowiek nabywa stając na właściwym dla siebie i niechwiejnym gruncie: rzetelnej pracy, a skromności, bez wymagań, bez pięcia się w górę.

„Poczwarka” teraz już nie byłaby jak dawniej z żalem w duszy goniła tych koleżanek, gdy uciekały, wstydząc się jej wytartej sukni. Wiedziała co o której sądzić. Nie wysuwała się ani z podaniem ręki, nietylko z uściskiem i nawet lic ani rąk Ady nie dotknęła swoją „nieprzyjemną, chropawą twarzą.”

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TO I OWO.

✲ Przeciwko wieszczbom Falba coraz częściej ostrzegają czytelników pisma naukowe nasze i obce, naukę bowiem, a niekiedy i dobrą wiarę tego męża opatrują specyaliści i wogóle sfery kompetentne, wielką ilością znaków zapytania.

Zdaje się, że te sprostowania i wyświetlenia istotnego stanu rzeczy nie są bez pożytku, bo łatwowierność ludzka z jednej strony, a z drugiej pewność siebie tego człowieka, którego nie bardzo łatwo stropić i przyprzeć, jak to mówią do muru, wedle zapewnień pism poważnych nie ladajakich szkód materyalnych stały się już dotąd powodem. Nie mówiąc już o stale w błąd wprowadzanym rolniku, który sto razy nadużyty nie przestaje do prognozy Falba przywiązywać pewnego znaczenia, zaawanturował się Falb w roku bieżącym w przepowiedni, która w Ameryce stała się przyczyną prawdziwej klęski. Przepowiedział ten prorok na 29 Marca roku bieżącego niebywałe zakłócenia w atmosferze i katastrofy dodając, że będzie to dzień obfity w nadzwyczajne przypadki i że wiele lat upłynie zanim znajdzie się data równie krytyczna, jak ów złowrogi 29 Marca.

Traf zdarzył, że w Ameryce południowej w Chili 13 Marca poczynając, powtarzały się dosyć silne trzęsienia ziemi, z czego nie omieszkali Falbiści rozszerzyć pogłoski alarmującej nadmieniając, że jeżeli już 13-go takie są oznaki zapowiednie nadchodzących nieszczęść, łatwo domyśleć się, co może przynieść ze sobą taki 29 Marca.

Oczywiście, że mogło to zasiać pewien niepokój i jako żywo w Valparaise przyjęła się wróżba tak dosłownie, że wielka część mieszkańców uciekała w góry, pozostawiając mienie całe na los szczęścia.

Przebywszy w górach kilka dni, gdy przeszedł nareszcie i ów kataklizmowy 29, powoli wracać zaczęło to wszystko do domów, nie bez szwanku jednakże na zdrowiu, a nadewszystko nie bez strat materyalnych. Pociągi były przez kilka dni przepełnione uciekającymi, a takich rozmiarów dosięgnął popłoch, że zbiegłych obliczono tam na jakieś dziesięć tysięcy mieszkańców.

Zdawałoby się, że zachwiana w tak kompromitujący sposób powaga wróżbity stanowczo na przyszłość poniosła porażkę, a jednak tak nie jest bynajmniej, bo oto Falb w sprawozdaniu swojem tryumfuje prawdziwie i sam się dziwi, że mu się ów dzień 29-go Marca tak doskonale udało przewidzieć. Z taką arrogancyą walka nie łatwa, a ma ten prorok swoją metodę, która pozwala mu się zawsze zamykać w ogólnikach, a nakazuje strzedz jak najstaranniej wymieniania miejscowości, w której to lub owo w myśl przepowiedni zdarzyć się powinno. Otóż zawsze mniej więcej wśród upalnego lata są gdzieś jakieś burze, grzmoty, nawałnice, uderzenia piorunów, wylewy rzek, trąby powietrzne i byle temi wszystkiemi klęskami umieć później zręcznie manewrować, to nie zaangażowawszy się poprzednio w szczegółach, z wielu kłopotów wyśliznąć się można.

W każdym razie czas byłoby przestać zważać na głosy Falba i jemu podobnych.

✲ Z przemysłem stroju kobiecego we Francyi trudno było sobie poradzić dotąd statystyce, albowiem kobiety oddające się tej professyi składają się zarówno z takich, które pracują po magazynach, jak i tych które biorą robotę do domu. Dalsze trudności stanowiła ta okoliczność, że całą wytwórczość ubrania mężkiego można obliczyć z ksiąg krawców, podczas gdy mnóstwo jest w Paryżu kobiet, które przygotowują sobie ubranie same. Praca tych ostatnich wymyka się już stanowczo z pod wszelkiej kontroli, a zarówno odtrącić należy ze statystyki stroju kobiecego to wszystko, co przypada z pracy szwaczek na robotę przy bieliźnie, podczas sezonu martwego.

Załatwiono się z temi trudnościami w ostatnich czasach i dziś wiadomo, że z ogólnej cyfry pracownic igły wynoszącej w Paryżu 90,000, przypada na pracownice sukien damskich 50,000 kobiet. Zarobki spotykamy tu bardzo rozmaite. I tak antreprenerki wielkich domów produkujących suknie damskie oddają szwaczkom robotę na wydział i płacą od żakietu damskiego 1 franka 25 cent, a od dziecinnego 50 centymów.

Jest to zarobek bardzo nędzny, albowiem uzdolniona robotnica wykończy w ciągu dwóch dni trzy żakiety damskie, dziecinnych zaś przez jeden dzień zrobić może 3 sztuki, co odpowiada na dzień 1 fr. 50 c. do 1 fr. 80 cent. płacy.

Opatentowanych przedsiębiorstw stroju damskiego jest w Paryżu 2,500, licząc w to już i takie specyalistki, które wystawiają same modele. Tak zwanych we Francyi Maisons de Confections ma Paryż 120.

Właściwie mówiąc tylko wielkie domy płacą dobrze, np. pracownica pierwszorzędna, krojczyni, i ta która przymierza ubranie zarabia rocznie 5 tysięcy franków i całe utrzymanie, gdy tymczasem mniejsze przedsiębiorstwa wynagradzają swoje najlepsze pracownice 3 do 6 franków dziennie, a wchodzi tu znowu w rachunek bezrobocie przymusowe w sezonie martwym.

Ubranie męzkie w Paryżu nie jest poszukiwane dzisiaj w tym stopniu jak było dawniej, damskie przeciwnie, rozchodzi się na zagranicę z każdym rokiem więcej. Podczas gdy w roku 1879 wartość strojów damskich na eksport wynosiła 8 i pół milionów franków, w roku 1893 dosięgła ona olbrzymiej cyfry 75 milionów. Przyczynia się do tego w znacznej części i ta okoliczność także, że Ameryka Południowa ma swój sezon nierównocześnie z paryzkim, co pozwala nowości odstępować po cenach stawiających Paryż po za wszelką konkurencyą, a Ameryka Południowa stanowi bardzo poważną klientelę w tym rodzaju przemysłu.

Wielkie domy konfekcyi damskiej mają obrót od 4 do 5 milionów franków rocznie, średnie i małe od 150 do 300 tysięcy franków.

Tak się przedstawia w głównych zarysach przemysł stroju kobiecego we Francyi.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

STROJE ŻAŁOBNE

KONCESYONOWANE Z KAUCYĄ 7,500 Rs.

NAJTANIEJ — NAJTANIEJ

Strojе żałobne — Ubiory pośmiertne

Warszawskie Przedsiębiorstwo Pogrzebowe
oraz MAGAZYN ZAŁOBNY

F. ŚWIEJKOWSKIEGO

SENATORSKA 32. MARSZAŁKOWSKA 136

Suknie, kapelusze, welony, woalki i t. p. posiada w wielkim wyborze.

Pogrzeby, przewożenie zwłok, ekshumacyę, budowę grobów i pomników załatwia szybko.

NAJTANIEJ 47168 NAJTANIEJ

UBIORY POŚMIERTNE

Woda Mexico



WSTRZYMUJE wypadanie **włosów**

PUDER WARSZAWIANKA.



PUDER WARSZAWIANKA.

13 TŁOMACKIE 13 SKŁAD GŁÓWNY

Woda Kolońska LUBELSKA Feliksa Warszeckiego.

Dostać można w składach aptecz-nych i perfumeryach.

4561152

Zakład Naukowy Żeński 6-cio klasowy
STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ

W WARSZAWIE,

Krakowskie-Przedmieście Nr 2.

(Wprost Kopernika).

Przyjmuje uczennice na przychodnie, półpensyonarki i pensyonarki stałe. Warunki przystępne. Po za obowiązującym programem nauk szkolnych kładzie się nacisk na krój, roboty ręczne, konwersacyę w obcych językach, oraz dobre wychowanie, w najwyższem znaczeniu tego słowa. Gimnastyka, muzyka, śpiew, tańce bez oddzielnej opłaty od pensyonarek. Zapis i egzamin nowowstępujących uczennic odbywa się codziennie.

PRZYJACIEL DZIECI

Pismo tygodniowe ilustrowane, nauce i rozrywce młodzieży poświęcone

(NAJSTARSZE W KRAJU).

W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część illustracyjna, bogata i bardzo starannie prowadzona.

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:		*Na prowincyi:*	
Rocznie . . .	rs. 4.	Rocznie . . .	rs. 5 k. —
Kwartalnie . .	rs. 1.	Kwartalnie . .	rs. 1 k. 25

Jan Skiwski, Warszawa, Chmielna 26.

TELEFONU № 772. — Warszawa, ulica DŁUGA № 5.



WINA ZAGRANICZNE,

Koniak „IMPERIAL."

Wybór wielki.—Ceny najniższe. 4171326

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga **REUSSNERA:**

Najlepsza Metoda

do nauczenia się **BEZ NAUCZYCIELA** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w **3-ch MIESIĄCACH**, po angielsku w **24-ch LEKCYACH.** Cena metody niemieckiej kurs niższy 60 k. — kurs wyższy rs. 1 k. 60. Komplet (oba kursa) **tylko 2 rs. METODA ANGIELSKA** z wymową kurs I k. 75, kurs II rs. 1 k. 20, komplet rs. 1 k. 70. **„SAMOUCZEK" POLSKO-FRANCUZKI** z wymową 37 zeszyt. po 15 k. **NAJLEPSZE ELEMENTARZE: POLSKO-NIEMIECKI i RUSKO-NIEMIECKI** z wymową, z 14 wzorkami, kop. 35, 20 i 10. **POLSKI** kop. 25, 15 i 4.

Na przesyłkę pocztową dopłata do każdego tubla po kopiejek 20. Skład główny u autora (Reussnera) **ZŁOTA 6,** w Warszawie. 4181224

W. SIERCZYŃSKI



Szewc Męzki i Damski.

Poleca wybór gotowego obówia, wykończenie staranne i eleganckie.

WARECKA Nr 1, róg Nowego-Światu. 46466

---

418 **Wszystkie Książki i Nuty** przez kogobądź wydane, posiada lub dostarcza prędko i **prenumeraty** przyjmuje Księgarnia i Skład Nut **Mauryсego Orgelbranda** w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika. **Katalogi i Prospekty bezpłatnie.** Tamże **Wypożyczalnia** (czytelnia) **Książek** polskich i francuzkich.

OGŁOSZENIA

przyjmuje Administracya

26. CHMIELNA 26.

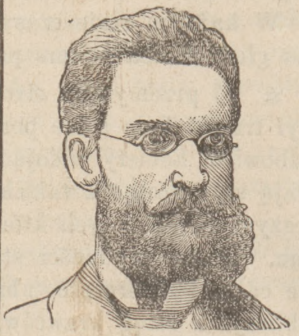
oraz

WARSZAWSKIE BIURO OGŁOSZEŃ

8. WIERZBOWA 8.

Biuro Nauczycielskie
JADWIGI JAHOŁKOWSKIEJ

nauczycielki 2-go gimnazyum. Szkoła Froeblowska. **W Warszawie, Wspólna 40.** 3392626



463412

CAPILLIFER

Niezawodny środek wzmacniający cebulki włosów i niszczący łupież wskutek czego rosną gęste i mocne włosy, co stwierdzono długoletnią praktyką.

Ceny flakonów stałe: rs. **1** kop. **20, 2** i **3** rs.

Pozwolenie urzędu lekarskiego za Nr 1036. Aby uniknąć naśladownictwa, wyłączna sprzedaż tylko u wynalazcy **T. L. Grabowskiego, Aleja Jerozolimska Nr 76, m. 7.**

Obstalunki od rs. 2 załatwiam za zaliczeniem.

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

Felicyi Ginejko przy zakładzie froeblowskim ***Jadwigi Chrząszczewskiej***

w Warszawie, Nowy-Świat 21. 474226

!WYPRZEDAŻ!

pozostałych towarów z Magazynu

E. LOTH

jako to: **Kapeluszy letnich i filcowych damskich i dziecinnych, oraz mezkich wyłącznie** słomkowych, również **Kwiatów** po cenach niżej kosztu, odbywa się w dalszym ciągu w lokalu prywatnym, przy ulicy **Nowy-Swiat Nr 57** (blizko Ś-to Krzyzkiej).

Дозволено Цензурою. Варшава 16 Іюля 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. **DODATEK.**